

# Janusz Sławiński

---

## List, którego nie wysłałem do Pana Włodzimierza Maciąga w dniu 23 marca 1977 roku najpierw z powodu czasowej niesprawności skrzynki pocztowej na ul. Włociańskiej w Warszawie, potem przez niedopatrzenie

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (34), 185-187

---

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Przechadzki

**List, którego nie wysłałem do Pana Włodzimierza Maciąga w dniu 23 marca 1977 roku najpierw z powodu czasowej niesprawności skrzynki pocztowej na ul. Włociańskiej w Warszawie, potem przez niedopatrzenie**

*Laskawy Panie,*

*w dwunastym tegorocznym numerze «Życia Literackiego» zechciał Pan zareagować na moją pisaninę artykułem «Jak mówić o zmarłych?», który jest energiczną i szlachetną w intencjach rozprawą ze szkicem wstępnym do tomu «Wspomnień o Julianie Przybosiu». Przyjmuję tę Pańską inicjatywę z prawdziwą wdzięcznością. Nie pragnę przy tym zająć wobec niej merytorycznego stanowiska, co bierze się nie tylko stąd, że Pański tekst znalazł się w rubryce «Pytania bez odpowiedzi» i uważałbym za niestosowne przeciwstawiać redakcyjnej koncepcji swoją niewczesną odpowiedź; nie próbowałbym replikować nawet wtedy, gdyby ukazał się pod nagłówkiem «Zaproszenia do odpowiedzi».*

*Wydaje mi się bowiem — i to właśnie chciałbym Panu w tym liście uprzytomnić — że nasze wzajemne relacje jako «podmiotów piszących» (takie relacje, jak dyskusja, porozumienie, konflikt, pytanie, odpowiadanie etc.) są z góry naznaczone nieuleczalną beznadziejnością — po prostu nie mają szans się spełnić. Jest moim celem przekonać Pana do tezy, która może z początku wyda się Panu zbyt ryzykowna, że mianowicie występuje tu przypadek niezmiernie zaawansowanej antywzajemności: to, co ja piszę, jakby nie zakłada Pana jako odbiorcy, to zaś, co Pan pisze — również stanowczo wyklucza mój odbiór. Skądinąd nie byłoby to zjawisko szczególnie osobliwe. To, co komunikujemy, nie jest przecież adresowane do wszystkich, lecz przystosowane do oddziaływania selektywnego i to — w dodatku — na określonym poziomie obiegu. Każdy przekaz implikuje w pewnym sensie swoich adresatów. Charakteryzuje go w rów-*

nej mierze dostępność dla jednych, co niedostępność dla innych. U jednych wywołuje rozumiejącą akceptację lub rozumiejący sprzeciw; drugim się na nic przydać nie może, ponieważ nie pokonał w ogóle bariery ich mentalności, ideologii, wyobraźni czy wrażliwości. Otóż sformułowana wyżej teza (hipoteza?) głosi, że dzieli nas — jako uczestników ewentualnej komunikacji — dwustronna niedostępność naszych przekazów. Gdybym nie obawiał się urazić Pańskiego smaku stylistycznego, powiedziałbym, że jesteśmy dla siebie nawzajem niejadalni.

Oczywiście tezę taką z pełnym przekonaniem mogę odnieść do własnej sytuacji, gdzie instancją rozstrzygającą jest moje doświadczenie konsumpcyjne. Z pewnym zawstydzeniem muszę wyznać, że nie udało mi się dotąd przeczytać do końca żadnego Pańskiego tekstu — nawet najkrótszego. Podejmowałem taki wysiłek wielokrotnie (w latach młodości i w wieku średnim): za każdym razem przerywałem go ze zniechęceniem. Nieodmiennie odnosiłem w toku lektury wrażenie jakiegoś grzęźnięcia w wielosłownym banale, w moralistycznych frazesach, podniosłych pouczeniach, nielogicznościach, problemowej niewyrazistości, latwiznie analiz i interpretacji, werbalistycznym „zaangażowaniu” i po prostu — w obezwładniającej nudzie. Próby kontaktowania się z Pańskimi tekstami to dla mnie uporczywie powracające doświadczenie owej mulistości, która — zgodnie z diagnozą Błońskiego — stanowi dziś (u nas) jeden z głównych żywiołów działalności krytycznoliterackiej. Najbardziej zastanawiające wydało mi się to, że za każdym razem z mechaniczną monotonią odpychały mnie w Pańskich pracach wciąż te same ich właściwości. Przyszło mi nawet do głowy, że taka dokładna powtarzalność nie jest po prostu możliwa w świecie ludzkim i że prawdziwym podmiotem Pańskich przekazów jest jakieś urządzenie automatyczne (agregat zamulający) zaprogramowane w taki sposób, by wypuszczało produkty słowne o ustalonych raz na zawsze parametrach. Pan zaś — tak sobie roiłem — naciska tylko odpowiednie guziczki, przesuwając dźwignie i pokręcając korbkami.

Jakkolwiek rzeczy wyglądają, mam prawo powiedzieć, że Pańskie teksty są dla mnie niedostępne. Nie potrafię z nich korzystać, brak mi sił, by im myślowo sprostać i cierpliwości, by zachowywać wobec nich — mimo wszystko — życzliwość. Mój aparat odbiorczy nie jest w ogóle przygotowany na ich przyjęcie. Wcale przy tym nie wykluczam, że moje stanowisko wobec Pańskiej twórczości krytycznej jest najzupełniej odosobnione. To, co mnie wydaje się żmudnym banalem, dla innego może być klejnotem myśli; to, co ja kwalifikuję jako wielosłowie, inny nazwie stylistyczną elegancją; to, co dla mnie jest moralistycznym frazesem, przez innego będzie traktowane jako głęboka prawda etyczna. I tak dalej, i tak dalej. Ale do tego przecież sprowadza się sedno naszej wspólnej sprawy: rzecz całkowicie niedostępna dla Iksa może się okazać łatwo osiągalna dla Zeta.

Mam podstawy do przypuszczenia, że Pańskie usytuowanie wobec moich tekstów jest symetrycznym odbiciem mojego położenia wobec Pańskich. Są one prawdopodobnie dla Pana niedostępne w równie podstawowy sposób — przy czym powody tego stanu rzeczy mogą być podobne lub całkiem odmienne. Tego nie wiem. Być może Pan sam nie w pełni jeszcze uświadamia sobie naturę owej niedostępności. Cieszyłbym się, gdyby list mój odegrał w tym względzie rolę stymulującą.

Musimy bowiem spojrzeć prawdzie w oczy — po męsku. Skazani jesteśmy na byt monadyczny — jeden wobec drugiego. Ani nam się zrozumieć, ani nie zrozumieć. Nie mamy do siebie nawzajem dojścia. Brak nam wspólnego uniwersum. Dlatego Pańską inicjatywę dyskusyjną uważam za niefortunną od początku. Tak samo ocenilibym swoją — gdybym ją podjął. Nasze monady to coś jakby imperatywy gatunkowe. Czy nie wydałaby się Panu groteskowa próba nawiązania stosunku miłosnego jamnika z jeżem lub kanarka ze szprotką? My także nie możemy się ośmieszać! Natura nieublaganie pooddzielała gatunki — przystańmy na to z pokorą.

Życzę Panu pogodnego kwietnia i pozostaję z poważaniem

Janusz Sławiński